

42.

FAMA

13-26 VIII 2012

ŚWIDOUJŚCIE

FAMA.ORG.PL

Miejsca Literatury

}



TORPEDA
LUDU

DEFINICJA MIASTA

Aleksander Czerkawski

Między nami

Ja to wszystko mam tutaj, stary, nie muszę nigdzie łązić. Przy tym stoliku siedzę, cały dzień. Jak na miasto idę, to zawsze przy tym stoliku, bo to jest mój stolik, moje miejsce. Na imprezie na Dietla nie byłem, bo i tak najpierw ziomki przyjdą tu na bifor, a później wrócą na after, stary. Tak zawsze jest, bo to tutaj wszystko. Jak chcę się spotkać z Karolem, to też idę tutaj. Albo gdzieś indziej, nie wiem. Ale wiem, że go znajdę, bo on też przecież zawsze gdzieś siedzi. A byłeś na tym nowym otwarciu? Ja się przeszedłem, ale wolę, wiesz, stare miejsca, nasze miejsca. Tam, stary, kurwa, w chuj gówniarzy, kurwa wiesz, jakaś hipsteriada. Każdy tylko patrzy po drugim, trzeba się pokazać i takie pierdolenie. Nie chodzę po prostu do nowych miejsc, ja wszystko mam tutaj. Jak idziesz na miasto, to wiesz gdzie mnie znaleźć a ja wiem, gdzie znaleźć ciebie. To jest nasze miasto, tutaj. Przy tym stoliku, albo przy tamtym sobie siedzę i wszystko widzę, wszystko wiem. Chcę się dowiedzieć co się dzieje, co jest, kurwa, w modzie, nie wiem – to po prostu – gadam z ludźmi. Jak chcę się zorientować co było na jakimś wernisażu czy coś, to se poczytam ulotki, posłucham jakiegoś mądrali czy z ziomkiem co się lepiej orientuje pogadam i już jestem w temacie. Tu jest serce miasta. Wielokrotne jest to serce. Tu i tam. W jednym albo w drugim barze, ale zawsze tak to wychodzi. Jak idziesz na miasto, to wcale nie idziesz na miasto. Tylko na bary. Miasta nie ma.

Mateusz Marek

Między nami

Stary jest taka akcja. Wyobraź sobie, że ludzie tak bardzo się kochają, że brakłoby taśmy na ten romans, brakłoby banku, żeby złożyć tę walutę, brakłoby bomb, żeby wysadzić to w powietrze i chleba żeby to zażyć. Ludzie się kochają i za wszelką cenę chcą być razem, ze sobą, w grupie. Chcą zakładać ze sobą rodziny, budować domy, spotykać się, siedzieć razem, być razem, za wszelką cenę - razem. Z tej miłości być razem, w jednym miejscu. Tak chcą sobie pomóc, że ta przestrzeń jest urządzona dla nich i według nich, wszystkim po równo i szczęśliwie, na swoje podobieństwo, z wnętrza swojej miłości. Z czasem to miejsce rośnie, pęcznieje i to jest taki balon wypełniony tym co oni do siebie czują. A to miejsce i ten balon, i ta miłość i ta akcja, że oni się tak kochają, to wiesz co to jest? To jest miasto, stary. Miasto to jest cud bycia razem.

- no co ty? Ty tak poważnie?

- Nie, żartowałem...



fot. Ola Nykowska

Zenek

-A ja to bym chciał w takim gdzie rządzą i mieszkają same kobiety. Po każdym spacerze wracałbym do mieszkania z powykęcianym karkiem od gapienia się na te wszystkie ślicznotki. Ach, jak tam by było pięknie. Wszystko zadbane, czyste i pachnące. Ulice nosiłby nazwy kwiatów, kolorów i kreatorów mody. Chociaż jakby to brzmiało? Zamawiam taksówkę... Zaraz, zaraz czy w mieście zarządzanym przez kobiety jeździłby taryfy? Czy tam w ogóle byłby drogi? Założmy, że tak. Więc zamawiam taksówkę, wychodzę z baru... Czy w mieście kobiet byłby bary? Po co bary skoro one nie miałyby kogo podrywać, a ja komu w mordę dać. Z kim ja bym tam pił piwo bez soku? Wszystko ma swoje priorytety. Kobiety? Piwo w barze? Piwo w Barze? Kobiety? Ach, niech stracę. Piwo mogę pić w domu. Więc zamawiam taksówkę, wychodzę z kawiarni, wchodzę do samochodu i mówię „poproszę na Storczykową 7” „jechać przez Dolce i Gabbana, a potem skręcić w Fioletową?” „szybciej będzie jak pojedziemy przez Versace, a potem odbijemy w Lrysową” „czyli na następnym skrzyżowaniu w prawo” „tak, tak” no i pojechała w lewo „wiesz Kochaniutka taką mamy dziś ładną pogodę, przejdę się piechotą” „jak pan woli”. Wsiadam z pachnącego lawendą Citroena C1 i rozglądam się za najbliższym przystankiem. Dookoła przyszytych drzewa, mozaikowe klomby i wymalowane kamienice. Czysto. Nie wałają się śmieci, bo co dwadzieścia metrów stoją śmietniki. Jakie ładne kino. Ciekawe co grają: „Buziaki i całuski”, „Pocałunek anioła”, „Niania w tarapatach”. Trudno może coś ciekawego dzieje się w domu kultury. „Kurs szydełkowania”, „Tajemnice ogrodu-czyli jak wyhodować różę w kształcie serca”, „Spotkanie z Katarzyną Grocholą”. Jak na kolorowe miasto jest tu bardzo monochromatycznie. Gdzie ten cholerny przystanek? Zaraz, zaraz! Autobusy? Tramwaje? W mieście kobiet? Brak tu logiki. Nie, nie logiki. Brak tu logistyki. Dobra, jednak mężczyźni się przydadzą. Będzie trochę brudniej, mury, bloki i kontenery będą oznaczone strózkami mocz, ale za to będzie można zyskać na terenie zmniejszając miejsca parkingowe. Mamy więc przestrzeń publiczną i komunikację miejską. Wszystko gra i śpiewa. No może w autobusach panuje ścisk w godzinach szczytu, ale jakoś z pracy trzeba wrócić. Teraz muszę zająć się

miejscową społecznością, bo jakaś ona nijaka. Trzeba ich scalić, zjednać, sprawić by poczuli między sobą więź. Tylko jak. Historia! Coś co sprawi, że każdy mieszkaniec choć inny czuć będzie więź z drugim za sprawą jakiś przeszłych wydarzeń. Może powstanie, albo okupacja. Nie, zbyt krwawo i smutno. Wiem! Miasto, w którym podpisano traktat pokojowy. Za sprawą charyzmatycznego mediatora, bezkrwawo powstrzymaliśmy dalszą ekspansję chamstwa i tałatajstwa na tereny Polski. Może jeszcze kilka noblistów i polski gwiazdor z Oskarem na koncie. Dorzucę jeszcze królową Anglii, która raz w roku przyjeżdża tutaj na wypoczynek. Mamy już wspólnotę dumną ze swej historii i obywateli. Tylko nie buców i zadufanych w sobie regionalnych patriotów co, to na Krakowian mówią Sknery, na Poznanian- Pyry, a na Ślązaków- Niemcy. Na wszelki wypadek dorzucę szczyptę tolerancji i pokory. Potrzeba jeszcze jakiegoś znaku szczególnego. Same zabytki nie wystarczą. Hm, największy pomnik Chrystusa, nie, zbyt megalomańskie i zuchwałe. Może najtańsza wódka? Też nie, za dużo roboty dla policji, lekarzy, prawników i barmanów. Wiem! Miasto, którego mieszkańcy żyją z najwyższym poziomem szczęścia. Wysokie zarobki, zerowe bezrobocie, przychodnie bez kolejek i brak korków- istny raj. Kogo ja oszukuje, przecież to niemożliwe. Dobra niech będzie największy Chrystus. Nie! Kino z największym ekranem na świecie. Darmowe! Teraz kolej na urzędników i polityków. Jakbym tego nie wymyślił i tak skończy się na obietnicach bez pokrycia, korupcji i bezustannym chaosie. Oni po prostu muszą być i tyle. W taki właśnie sposób powstał żywy organizm. Zabudowa jest ciałem, które zazwyczaj ma się dobrze, choć czasem potrzebuje odnowy. Ludzie są krwią, która krąży wszędzie i sprawia, że budynki stają się czymś więcej niż pustą cegłą czy zaprawą murarską. Serce jest historią, kulturą, tożsamością. To ono wskazuje krwi właściwą drogę. Scala wszystko w nieidealną całość.

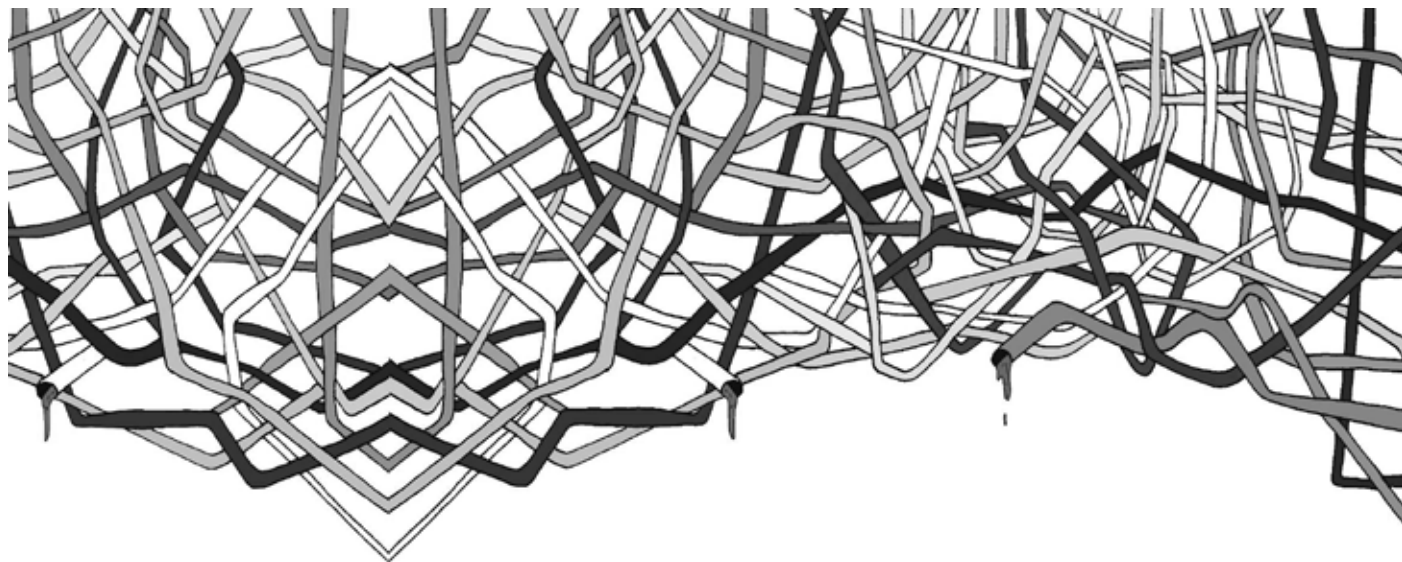
-Zenek co ty pierdolisz?

-O mieście gadam?

-O jakim mieście?

-O każdym.

-Ej chłopaki! Zenkowi już nie polewamy!



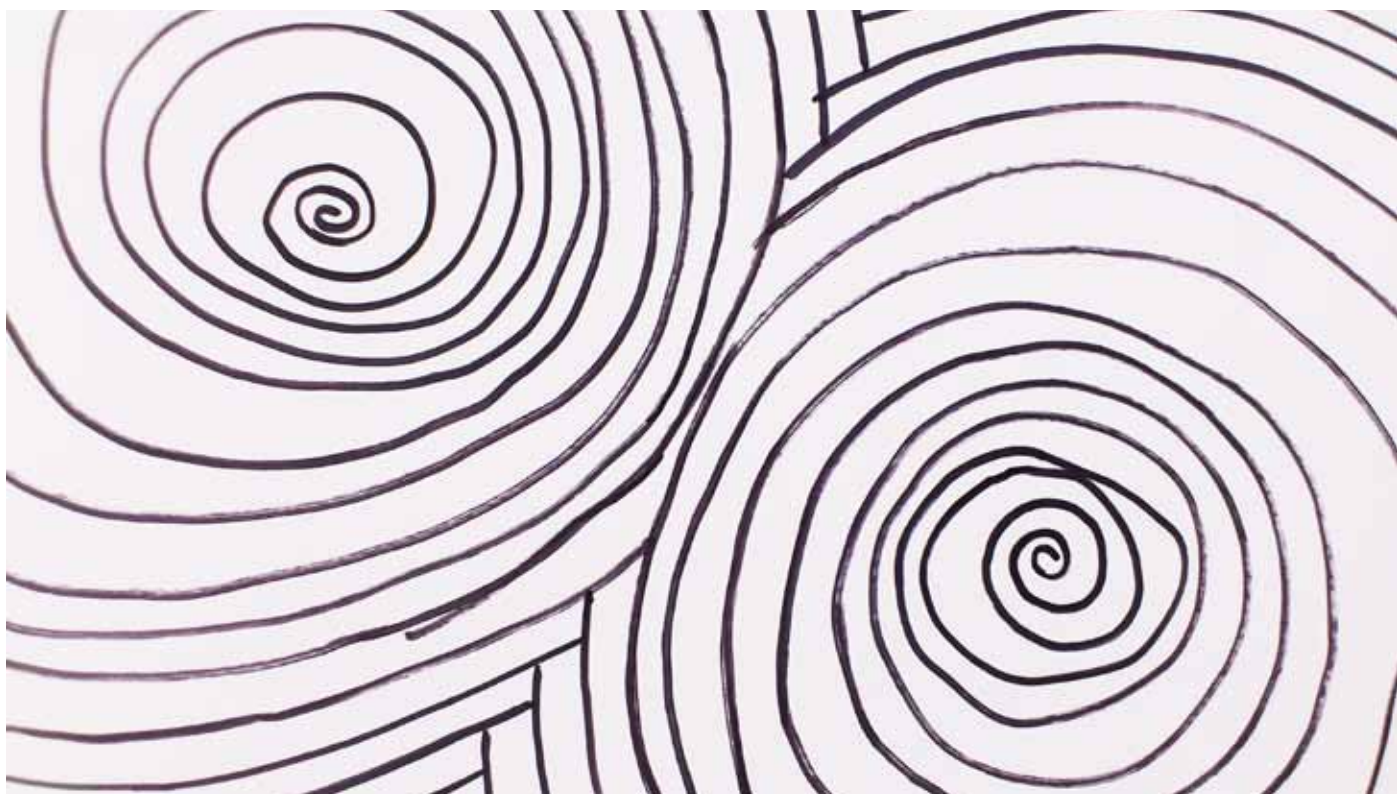
Spójrzmy na najdokładniejszą mapę, określającą nie tyle miejsce przecięcia się dwóch ulic, co ich esencję rozwodnioną przez pamięć. Główny gościniec oznaczony dawno już wygojonymi przecznicami szwów przebiega po skosie przez czoło. Zdaję się, że to od niego odchodzą inne ścieżki tworzące siatkę cienistych zmarszczek bruźdzących całą twarz. Cóż za mylne wrażenie- powstał wiele lat po nich wycięty krawędzią stłuczonej butelki, choć nie można ukryć, że wtedy nie były jeszcze widoczne. Na dwóch podłużnych skwerkach powyrastały już krzaki siwizny, a one same przez lata zaniedbania rozrosły się kilkukrotnie, prawie łączą się ze sobą i opadają w dół, poniżej tuku brwiowego.

Ze szczerbatej klatki ściekowej wystającej spod szpakowatych chaszczów wydobywają się cuchnące alkoholem bryły pary i rozwiewają na mrozie. Gdy już zupełnie znikną kolejny wydech wyrzuca nową porcję, równie ulotną jak poprzednie. Po obu stronach wejścia do kanałów równoległe do siebie wąwozy wypełnione cieniem ciągną się aż do połowy wysokości twierdzy, umieszczonej przez roztrzonego geomantę w centralnym punkcie grodu. Liczne ataki rozpląszczyły ją i powykrzywiały, ona jednak wciąż kpi z przeciwników i jedyną znaczącą oznaką doznanych porażek jest świszający oddech wydobywający się z dwóch ciemnych bram. Ponad sterczącymi górami policzkowymi, okalając z obydwu stron zmiążdżoną część zamku, zioną dwa szkliste jeziora. Ich krawędzie uwydatnia wyblakła, granatowa lina, z kącika prawego sączą się wytatuowane łzy. Na powierzchni odbija się przeszłość i cząstka teraźniejszości, ci którzy nie boją się w nią wejrzeć zostaną dopuszczeni do widoku prawdziwej twarzy miasta. Spójrzmy w tę otchłań!

Za warstwą rezygnacji odbija się wspomnienie młodości. Gorzkiej, bolesnej i słodkiej, prawdziwe miejskiej.

Zmęczona dziwka rozbiera się w pomieszczeniu z czerwonymi ścianami, przygasza papierosa i lubieżnym gestem przywołuje do siebie patrzącego. Pierwszorzędną chara pieści gardło nie przywykłe jeszcze do nalewek tłoczonych doń z plastikowego kubka. Kosa gładko wchodzi pomiędzy frajerskie żebra, wszechobecne kamery są tylko skrytym marzeniem króla konfidentów. Przez zrolowaną dwustuzłotówkę mknie biała burza. Żyletka tnie przedramiona w dzikim sprawdzianie męskości. Na głowie rozbijają się butelki, zamoczona w tuszu igła znaczy skórę, a zęby wylatują, jeden za drugim, niczym jesienne liście w miejskim parku. Poza burdelem, celą i ciemnym zaułkiem mającą zapomniane marzenia. Trudno rozpoznać ich kształty, rozwiewają się w mrokach pamięci wypierane przez ambicje, żądze i nałogi. Zniszczony recydywista połyka brudnego chłopca, chłopiec ucieka od spadającego nań pasa z grubym kijem w rękę, a dalej widać już tylko pustkę, odpowiedź na pytanie o sens życia. A może coś przylgnęło do dna i kurczowo nie chce się puścić ze strachu przed słabością? A może nie...

Spójrzmy na inne mapy. Są ich miliony, gdy jedne ulegają rozkładowi zastępują je kolejne, gładkie na początku, z biegiem lat szpetniejące pod ciężarem punktów orientacyjnych i nieczytelnych wskazówek. Każda ich generacja jest inna, ale wszystkie są takie same. I dopiero gdy przyjrzymy się jej wszystkim warstwom, gdy zbadamy upudrowane twarze elit i szare oblicza patologii, gdy zerkniemy do muzeów i osiedlowych piwiarni, gdy dotkniemy delikatnej pianki i cuchnącego szlamu, gdy zrównamy walkę o wieczność z walką o następny dzień, gdy pokochamy ropuchę i pokrzywę, gdy zapomnimy o architekturze, a zauważymy kotłujące się w jej cieniu życie- dopiero wtedy będziemy mogli spróbować stworzyć definicję miasta, niekoniecznie literacką.

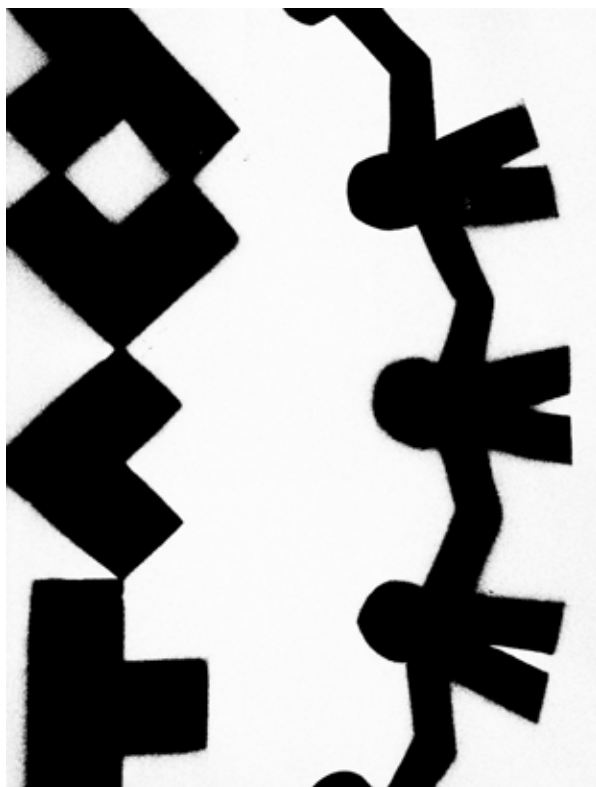


fot. Paweł Łęczuk (rys. Nieznany z FAM-y)

Marta Marciniak
w drodze

jak zawsze na rozstaju pomiędzy tym co wielkie a między tym co małe, między jedną awanturą a spokojną przystanią, między oglądaniem lyncha i oglądaniem plotkary, między tym co próżne i tym co trwałe. jakie pytania mogę sobie jeszcze zadać? już żadne, bo na wszystkie odpowiedzi już padły. piękne upały, na które czekaliśmy tak długo i piękne paczki, które również były długo w drodze. lato, a w pokoje wpadają nam maleńkie muszki, które zabijamy pod samym sufitem, gdybyśmy mieszkali w kamienicy, musielibyśmy używać drabin, żeby zrobić cokolwiek, nawet zabić muszkę. także na suficie mamy cmentarzysko muszek i przylatują następne, tak żeby pomścić swoich braci, a gdy my dajemy im tę szansę, wynagrodzenia tych krzywd, to one spadają, jakby w płonącej karuzeli, kręcąc się cały czas, spadają na nas. potem idziemy spać, tak, że nikt nas nie słyszy, nikt nie wali do drzwi i nie wzywa policji, bo kręcimy się za ręce wokół własnej osi. tańczymy muszy taniec, który w ten skwar działa jak zamrożona cola. życie w warszawie staje się wielką podróżą, Bombajem, mokrym podkoszulkiem, który jednoczy wszystkich. dowiadujemy się o nowych konstelacjach, układach nieprzypadkowych i wyobrażamy sobie wsteczne wszechświaty, gdzie każdy z nas mógł mieć swój identyczny odpowiednik, który mówił te same rzeczy w tych samych momentach. tomek pisze pracę, a ja zmoczyłam włosy, bo jest tak gorąco, a okien nie otworzymy, bo znowu wpadną muszki. jutro jedziemy opalać się nad rzeką.

(przez całe życie snuję się za fascynującymi mnie ludźmi, bo dla mnie prawdziwymi ludźmi są szaleńcy ogarnięci szalem życia, szalem rozmowy, chęcią zbawienia, pragnący wszystkiego naraz, ci, co nigdy nie ziewają, nie plotą banałów, ale płoną, płoną, płoną, jak bajeczne race eksplodujące niczym pająki na tle gwiazd, aż nagle strzela niebieskie światło i wszyscy krzyczą „Oooo!”)



fot. Paweł Łęczuk (graf. Stanisław Zarychta)

Katarzyna Nowicka
Stacja

Stacja, bieg. Samochód, więc uwaga, pasy. Zadyszka, ale jeszcze przed czasem. Winda, guzik 10, krzesło, siada. Praca. Klika, klika, on też w klice i wszyscy wokół w tej klice klikają, aż dudni. Norma wyrobiona, wychodzi, winda, guzik 0. Pęd na stację. Tam tłum, tam tumult, ale wsiada. Jarzeniówki, może poczytać reklamy. Rotacja ludzi, droga długa. Stacja dom, winda, guzik 7. Wreszcie spokój. Telewizor, rewia kanałów, szczurzych. Sen-torpeda, ranek. Tempo narzucone, ale nie narzeka.
- Sielanka – dla próżniaków – gada.
Ceni komfort dojazdów. Żeby krótko i tanio. Pieniądz oszczędzić. Między blokami dojeżdżać do stacji. Sąsiedzi później wychodzą, kłaniać się nie trzeba. Komfort. A kolorowo jest, ładnie.
- Życie umilili tą farbą – plecie.
Na kino to nie, ale komedie wyda pensję. Lubi śmiech. Ma szybki, urywany, jak to mówi. Teatr niedaleko, to na bilecie oszczędzi. Bo między blokami, ale kluczyć trzeba. Po parku to niebezpiecznie nocą. Śpią na ławkach. Butelki przy sobie trzymają.
- Strach – bąka. Bo mu nie wypada. Szkołę życia przeszedł. Technikum go nauczyło, a przez park nie przejdzie. Zabytki to nie, nie bardzo. Wie, że są. Dzieci przynoszą zdjęcia. Lody tam kupują.
Nie ma czasu. Pędzi.
- To miasto – rzuca,
- Nigdy – dodaje,
- Nie będzie... należeć do mnie.

Agnieszka Horodyska
Definicja

Hm... ja a sto
Osób, a każda z własną
Szczoteczką do zębów.

Hm... ja a sto
Planów na ten wieczór.
Bo może spacer. W którym parku?
A może nauka? W bibliotece
Której uczelni?

Hm... ja a sto
niepokojów
O mieszkanie,
Bliskość w ciasności
I jakiś sens, jak pory roku
I pory żniw.

Hm... ja a sto
Światel zamiast punktów
Na zimnym niebie,
Bloków zamiast gór,
Szumów zamiast mórz,
Tajemniczości po zachodzie.

Tadeusz Rubik

emsi

to był wieczór kiedy z kolegami
wyszliśmy zalani do suchej nitki
mieliśmy piętnaście lat i byliśmy
głodni i oh jak twoje drapieżne
suty rysowały się pod
czerwonym polo Mc'Donalds

i patrzyliśmy (kanapki były po czwórkę)
po czym wyszliśmy ale ja na światłach
powiedziałem kurwa to się tak
nie skończy odstałem do twojej kasy
i zebrałem odwagę chciałem panią
bardzo mocno prosić o colę

Tadeusz Rubik

Opluliśmy mu plecy

to miasto należy do nas odkąd
nasz dziadek się tu przeprowadził
w czterdziestym piątym i hodował
świenie w chlewie na podwórku
Marszałkowską budował swoim potem
a trawnik nawoził Sportami
to miasto od zawsze należy do nas
od kiedy pijemy w nim wódkę

to miasto nie należy do straży miejskiej
ani do pani prezydent
to miasto nie należy do kurew w legginsach
to miasto jest nasze
od kiedy na wszystkich podwórkach
zatknęliśmy sztandary
w postaci szczyn i wymiocin
to miasto jest nasze

na wszystkich swoich brzegach i frontach
ha-ha-ha to my jesteśmy miastem

Justyna Wolak

Miasto, Dzień

Ja, Poszkodowana w Dniu, w obecności Młodsze-
go Sierżanta zeznałam, że danego Dnia podróżowałam
w obecności Miasta, w celu przemieszczenia się.
Na Przystanku nie działa się nic podejrzanego.
Po skasowaniu biletu usiadłam na miejscu tyłem
do kierunku jazdy, pomiędzy Autobusem a Tramwajem
po lewo od głównych drzwi pojazdu. Jechałam
w kierunku Popularnym. Wsiadali ze mną ludzie.
Nie patrzyłam na nich. Chciałam dojechać do Stacji.
Po drodze nie zauważyłam nic niepokojącego. Pragnąc
wysiąść na swoim Przystanku zostałam zatrzymana
w sposób nieprzyzwoity. Nie pamiętam co dalej się działo.
Nie jestem w stanie określić ile czasu później siedziałam
na Peronie. Zauważyłam, że moja sakiewka jest otwarta.
Zawsze ją mechanicznie zamykam. Chociaż nie pamiętam
konkretnego faktu zamykania jej. Nie było w niej mojej
Tożsamości. Po kilku przeszukaniach siebie doszłam do
wniosku, iż zostałam okradziona. Następnie niezwłocznie
udałam się do Pociągu.

Jestem w pełni świadoma ciężkiej na mnie
odpowiedzialności karnej zgodnej z gównianą ustawą
o składaniu fałszywych zeznań z Dnia.

Jednakże mam wyjebane.

Mieszczanka



rys. Mateusz Kluczny

Krawacıarz

Sprawą Krawacıarza zajmowaliśmy się ze Starym w dwójkę, choć tak naprawdę on wcale mnie nie potrzebował. To była jego osobista rozgrywka. Geniusz przeciwko geniuszowi. Dla mnie miał to być start pięknej kariery. Miałem zostać pogromcą seryjnego mordercy. Tata będzie dumny.

Tak naprawdę nie wiem, czego chciał Stary. Powrócił do roboty kilka dni po pierwszym ataku Krawacıarza, specjalnie po to, by go dorwać. Niewiadomo co robił przez te lata kiedy usunął się w cień. Był legendą. Potrafił dopaść każdego, rozpracowywał największe famigłówki i znał najmroczniejsze sekrety tego miasta. Był bezwzględnie skuteczny. Może przez tą bezwzględność musiał odejść, może w końcu się doigrał. Może złamała go woda. Pewnie wszystko naraz. Gdy był u szczytu kariery zamordowano jego żonę i dwie córki. Nie miał nikogo, jeszcze bardziej poświęcił się pracy. I zniknął.

Pierwszą ofiarą Krawacıarza był student. Widziałem jego martwe ciało rozłożone na plecach na samym środku Collegium Maius. Krawacıarz nie zabijał w żaden wymyślny sposób. Najważniejsze w jego zbrodni nie było jak, ale gdzie. Tym się popisывał. Zostawiał ciała ofiar w miejscach, które utwierdzały mnie w przekonaniu, że jest duchem, magikiem, że jest nieuchwytny i może wejść wszędzie. Żadnych śladów, żadnych świadków, kamery przestają działać. Tylko trup. I tak: najpierw Collegium Maius, później Mały Rynek, ostatnio skrzyżowanie Grodzkiej i Poselskiej. Równy co tydzień, w poniedziałek. Wzmrożona czujność. Nic nie pomaga. Jeszcze bardziej irytująca była inna cecha jego działalności. Coś, co świadczyło o tym, że może i jest geniuszem zbrodni, ale jest również wariatem. To był jego czarny humor. Czarny humor psychopaty. Zabijał tylko mężczyzn, ciała zostawiał ułożone na plecach, a na klatce piersiowej ofiary – niczym krawat – układał świeżutkiego śledzia. Nikomu nie było do śmiechu.

Kolejna poniedziałkowa noc, przeohydny październik. Koło czwartej budzi mnie telefon. Krawacıarz znów uderzył. Wszyscy wiedzieliśmy, że znów to zrobi. Pod latarnią zawsze najciemniej – Morderstwo przed ambasadą na Stolarskiej. Ubieram się, wkładam płaszcz, bo przecież pada. Na Siennej zapalam papierosa. Właśnie skończyłem rzucać, więc zaciągam się aż do samego mózgu. Na miejscu czeka już ekipa. Jest i Stary, też kurzy. Po jego oczach widzę, że wszystko wie, że kolejne elementy układanki łączą się w jego głowie. Przedstawia mi fakty. Noc była wyjątkowo spokojna, w barach pustki. Policjant pilnujący ambasadę przysięgał jak na spowiedzi, że tylko na chwilę odwrócił głowę, zapalał papierosa czy coś takiego. Nic nie słyszał. Tylko pijacki śpiew kilka ulic dalej i bębnienie deszczu o dach radiowozu. Odwraca głowę a na środku ulicy trup. Patrzę na zwłoki. To jakiś barowy bywalec, marny publicysta z poetyckiej gazetki, niespełniony literat. Mokre od deszczu kępy siwych włosów obklejają jego czaszkę. Dokładnie po środku czoła zgrabna dziurka po kuli. Został zabity dużo wcześniej. Tuż pod szyją: błyszczący śledź. Krople spływają po jego łuskach. Krysztalem oka wpatruje się w czarne krakowskie niebo.

Siadam ze Starym w radiowozie. Mówi mi, że jest coraz bliżej i że bym nadal robił to, co robię. Czyli nie wchodził mu w drogę. Da mi znać, gdy sprawa nabierze rozpędu, że bym mógł pokazać się z nim w odpowiednim miejscu i odpowiednim czasie. To jego rozgrywka. Jego osobista potyczka. Być może chodzi o honor.

Może po raz ostatni chce dowieść, że jest najlepszy. Nie będę mu w tym przeszkadzał. Zaczynam jednak nabierać podejrzeń, że Stary wie więcej niż ktokolwiek mógłby przypuszczać, że Krawacıarz to jakiś demon z jego przeszłości, który po latach upomina się po niespłacony dług. Morderca rodziny Starego nigdy nie został złapany. To była jedyna sprawa, której nie dał rady. Czyżby Krawacıarz był sprawcą tamtego mordu? Pojedynek dwóch geniuszów. Geniuszów zbrodni, ale po dwóch stronach barykady. Stary i jego nemezis.

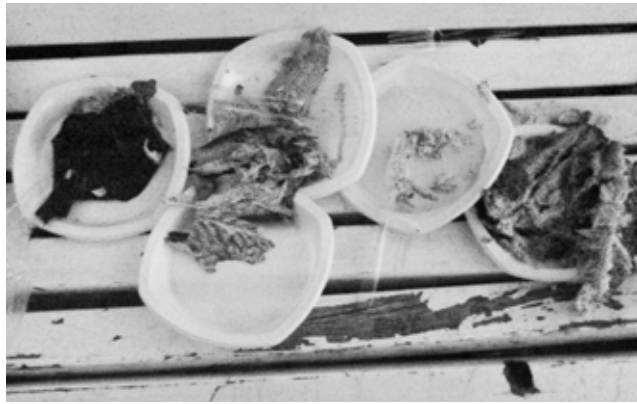
Tej nocy nie mogę spać. Śledź nie daje mi spokoju. Jaką tajemnicę kryje? Sam nie dam rady jej rozwiązać. Dowody, których i tak nie ma zbyt wiele, nie składają mi się w żadną całość. Może nie wiem wszystkiego. Pewnie tak jest. Pewnie Stary ukrywa przede mną jakieś fakty. Nie powinno mnie to interesować, to jego walka. Jestem tylko pionkiem w ich rozgrywce. Mam nadzieję jednak wziąć udział w jej wielkim finale.

Tydzień mija mi na papierkowej robocie. Staram się unikać byłej żony. Przeglądam długie listy sklepów rybnych, chociaż dobrze wiem, że nie tędy droga, że tak nie rozwiążę zagadki śledzia. Stary prawie się ze mną nie kontaktuje. Zbывa mnie ciągle jakimis formalnościami. Wszyscy wiedzą, że gdy nie ma go w firmie odwiedza najciemniejsze miejsca tego miasta i wydobywa jego najmroczniejsze sekrety. Jest coraz bliżej Krawacıarza i już niedługo moimi ustami wyjawi jego tajemnicę.

Kolejna poniedziałkowa noc. Obstawiony jest niemal każdy róg Starego Miasta. Wszyscy czekają na kolejną ofiarę, nie mając zbyt dużej nadziei, że tym razem uda się powstrzymać zabójcę. Koło północy dzwoni telefon. To Stary. Zdenerwowanym głosem oznajmia mi, że zna kolejne miejsce zbrodni, że musimy być ostrożni. Będzie tam na mnie czekał. Tylko trzy osoby wiedzą, gdzie uderzy dziś Krawacıarz: on sam, Stary i ja. Jadę na Hutę – kościół Arka Pana. W samochodzie nawet nie słucham muzyki, nie palę. Nie mam teraz do tego głowy. Skąd Stary to wie? Co tak naprawdę się wydarzy? Kim jest Krawacıarz? Tej deszczowej nocy wszystko stanie się jasne.

Ostrożnym krokiem wchodzę w suche mury świątyni. Idę w stronę ołtarza, rozglądam się za Starym. Zauważam go w jednej z przednich ław, czeka tam na mnie i już widzi, że do niego idę. Podchodzi i każe mi dokładnie przyjrzeć się ołtarzowi. Wymijam go, skupiam wzrok i wypatruję czegoś, co mogłoby pomóc mi rozwiązać zagadkę, zrozumieć. Rozlega się huk i zdaje mi się, że dostałem taranem w plecy. Nogi przestają się mnie słuchać, robię krok do przodu. Kolana uginają się. Kolejny huk, kolejny cios. To naprawdę się dzieje. Stary strzela mi w plecy. Nie jestem przerażony, raczej zdziwiony. Okazuje się, że to właśnie jest moja rola w tej historii. Padam na kolana, świat odjeżdża do góry i czuję na twarzy chłód posadзки. Słyszę zbliżające się kroki Starego. Jego ręce chwytają mnie za ramiona. Przewraca mnie na plecy. W mroku widzę nad sobą jego sylwetkę. Sięga po coś do kieszeni kurtki. Słyszę szelest papieru, lecz nie dostrzegam przedmiotu, który wyciąga. Wzrok mam mętny. Oddycham zbyt szybko lub zbyt wolno. Czuję, że Stary kładzie mi na klatce piersiowej coś mokrego i chłodnego, po czym odchodzi wolnym krokiem. Ja już widzę coraz mniej i coraz mniej odczuwam. Chłód rozchodzi się z klatki piersiowej na całe ciało. Zapach śledzia wypełnia moje absurdatne umieranie. Zdaje się, że odpływam w ciemność

Biuletyn redaguje zespół uczestników sekcji literackiej.
Redaktor prowadzący: Paweł Łęczuk
Współpraca: Darek Foks
Skład i łamanie: Szymon Piasta
Zdjęcia: Ola Nykowska, Paweł Łęczuk
Grafiki: Mateusz Kluczny



„Miasto wciąga”. Redaktor prowadzący wciąga śledzie zakupione przez Andrzeja Molendowicza, którego „kolegą” jest Janusz Rudnicki.

